

## KILKA KRÓTKICH HISTORII BARDZO KOLEKCJONERSKICH



Mogłem się spodziewać, a przecież się nie spodziałem, a już zaczęły sływać maile od Państwa, maile, w których lekko urażone czuć uczucia. A to wszystko z powodu ostatniego wstępniaka pt. *Kolekcja-zbiór-śmietnik*. Nie można mówić o burzy, bo tego typu sformułowanie zakłada złe intencje strony przeciwnej, jej gniew i chęć jego wylądowania na „przedmiocie” burzy. Jakoś udało mi się mianowicie ułożyć z Wami, Czytelnicy, a przynajmniej z tą częścią, która do mnie pisze, stosunki partnerskie. To znaczy takie, w których nie tylko się wymaga, ale też wiele daruje. Obydwu stronom. I chyba dlatego nawet naciśnięcie na odcisk, jakim ów wstępniak się okazał, nie wyzwoliło złych emocji skierowanych w kierunku „HIGH Fidelity OnLine”, a co najwyżej lekki żal, że jak to – ja? Ja taka/i nie jestem przecież. Więc jak to... Trzeba się jednak uderzyć w pierś (myślę przede wszystkim o sobie), a nóż nożyce się odezwą – naprawdę niewiele płytotek może się nazwać ‘zbiorem’, a jedynie mikronowa ich część ‘kolekcją’. Ale przecież to nie jest powód do zmartwienia – wprost przeciwnie, to być może moment na opamiętanie się i uporządkowanie tej części życia. A kolekcjonowanie to naprawdę pasjonująca i wciągająca sprawa. Można się wreszcie spokojnie pochylić nad rzeczami, które wcześniej nie były w ogóle dostrzegalne, a to dlatego, że przesłaniały je większe – i w gruncie rzeczy – nieważne problemy.

Zanim przejdę do trzech krótkich historii na ten temat, dwóch dotyczących tłoczeń płyt CD i jednej opowiadającej o audiofilskich woreczkach na płyty (tak, jesteśmy w tym miejscu :) chciałbym powiedzieć o najważniejszej dla „HIGH Fidelity OnLine” od jakiegoś czasu sprawie. Nie, nie chodzi ani o czwartą rocznicę spotykania się z Państwem, którą obchodziliśmy w zeszłym miesiącu (pierwszy numer pisma ukazał się 1. maja 2004 roku), ani też o 50. numer pisma w tym miesiącu. Może to jednak nie przypadek, ale w tym „okrągłym” numerze chciałbym powitać nowego autora HFOL. Jest nim, współpracujący z nami od dawna, ale w charakterze tłumacza wersji angielskiej, Krzysiek Kalinkowski. Poznaliśmy się, jak na cyfrowe pismo przystało, przez internet, mailowo. Od słowa do słowa i zaczęliśmy współpracować. Chyba z rok minął, zanim się zobaczyliśmy w analogowej rzeczywistości (w czasie Audio Show), a do tej pory więcej się nie widzieliśmy. Co nie przeszkadza nam dobrze się rozumieć. Krzysiek jest pasjonatem, jak i ja i wierzę, że jego testy spodobać się Państwu tak, jak i mnie. I że będą pomocne w Państwa wyborach – bo tym testy mają być: wskazówkami, drogowskazami i ostrzeżeniami. Nigdy wyroczniami. Jak by nie było, umówiliśmy się z Krzysztofem na jeden test w miesiącu (póki co). Jego pierwszy tekst dotyczy zaś kompletu przedwzmacniacz + wzmacniacz mocy Rogue Audio Ninety-Nine + Stereo 90. Jak w nim wspomina, jego punktami odniesienia są:

- odtwarzacz DVD-V Bluenote Koala Tube;
- przedwzmacniacz Manley Labs Shrimp;
- stereofoniczna końcówka mocy Linn Akurate A2200;

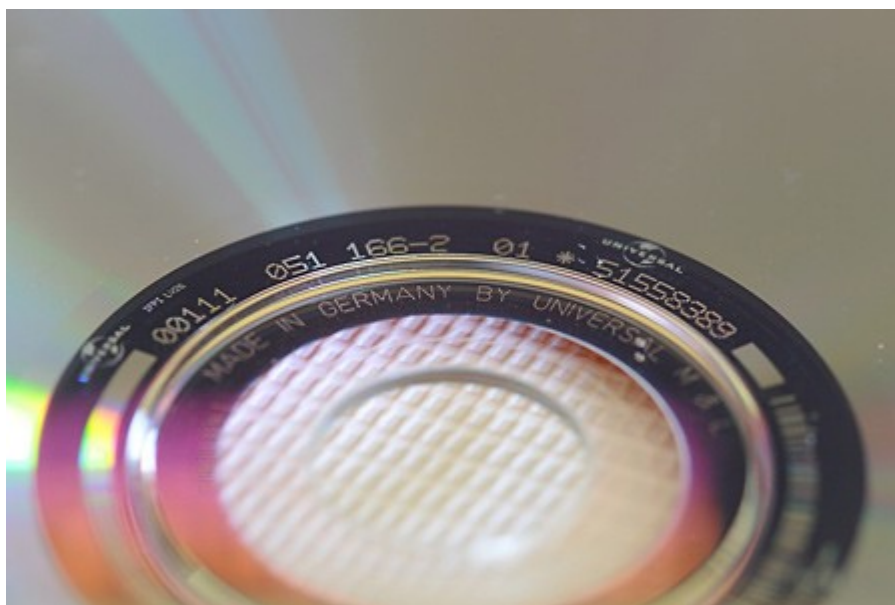
- kolumny Bowers and Wilkins (B&W) 804S;
- okablowanie: Linn, Mogami, Turtle Spirit i AudioNova.

To po prostu system Krzysztofa. Jak wspomniałem, równie ważna jest jego pasja i miłość do muzyki. Mam nadzieję, że to początek długiej i ciekawej, dla obydwu stron, współpracy.

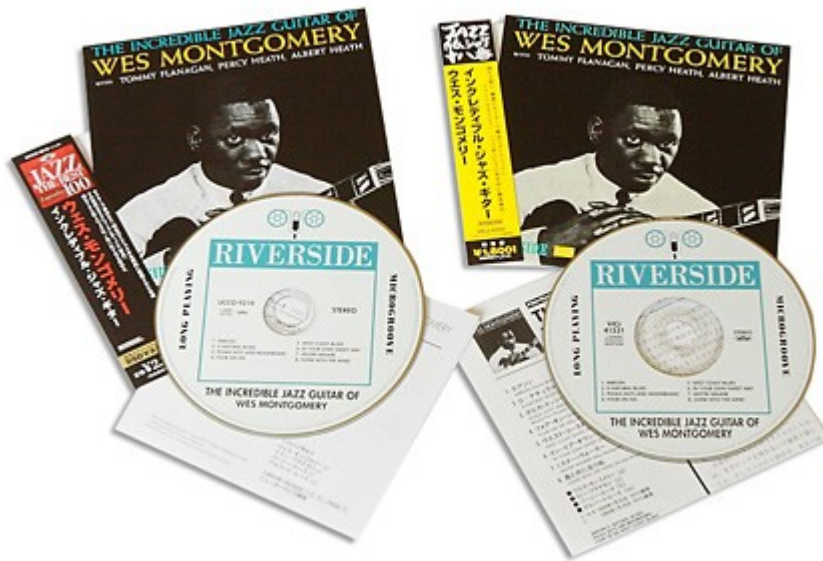


Teraz możemy wrócić do spraw kolekcjonerskich. Pierwsza rzecz jest krótka: ostatnio wreszcie udało mi się zakupić woreczki na płyty. Woreczki nie były jakie, bo japońskie – zarówno na całe płyty (mini-LP), jak i na same krążki, wewnątrz. Nabyłem je, jakże by inaczej, przez CD Japan (baner na górze strony). To niby nic, ale dopiero w woreczku tej klasy widać, jaką świetną poligrafię mają japońskie reedycje mini-LP. Taki woreczek firmy Nagaoka jest też znacznie solidniejszy od tych sprzedawanych w Polsce. Ponieważ zapragnąłem zapakować w coś takiego wszystkie płyty, jakie mam, zapewne następnym krokiem będzie zamówienie woreczków na klasyczne płyty CD (plastiki i digipaki). Warto!

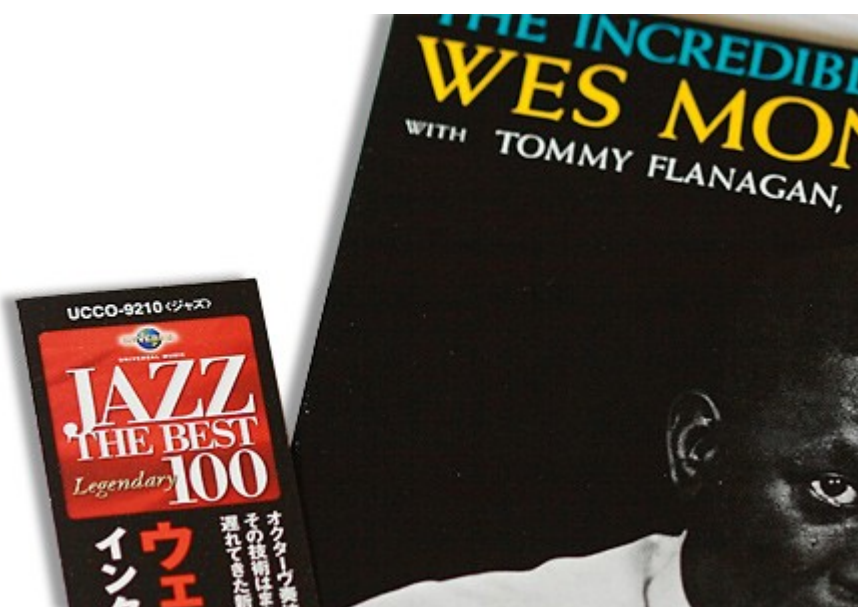
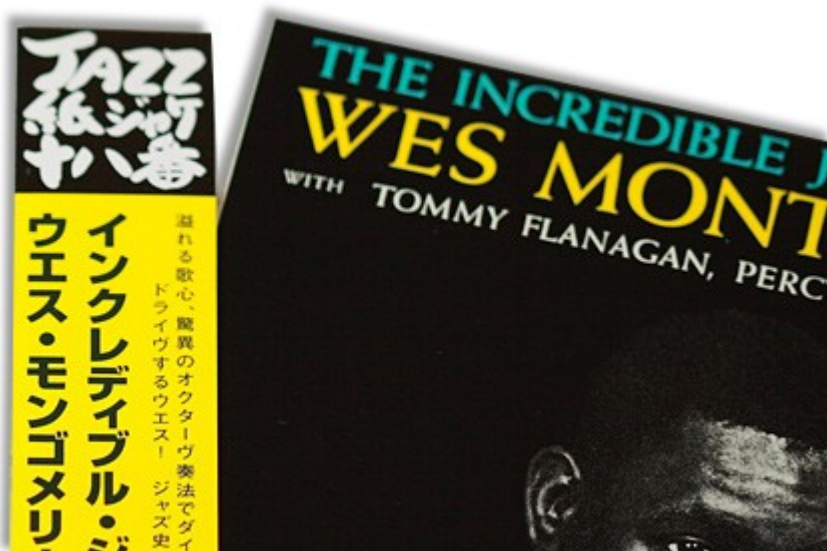




A będąc przy digipakach i mini-LP muszę koniecznie podzielić się dwoma historyjkami, obydwie dotyczą tłoczenia. Pierwsza jest zupełnie nieprawdopodobna i wyszła niejako przy okazji, samoistnie. Jedną z moich ulubionych płyt na skołatane nerwy jest krążek *Duke Ellington & John Coltrane* (Impulse, IMP 11662, CD). Ponieważ tak ją lubię i jednocześnie mam taką masę płyt, że jeśli jej dłużej nie słucham, zakładam, że to dlatego, że jej po prostu nie mam. Stąd mam zwykle kilka egzemplarzy. Nie wiem, jak to się stało, ale do tej pory nie nabyłem japońskiej wersji. Może po prostu słucham płyty w „tle” i nie ma dla mnie aż tak wielkiego znaczenia, czy gra bardzo dobrze czy tylko dobrze. Nieważne. W każdym razie, kiedy się zorientowałem, że mam co najmniej dwa egzemplarze, chciałem skorzystać z nich także do porównywania odtwarzaczy CD – mając dwie takie same płyty łatwo szybko ustalić przy przełączaniu między wejściami jakiś wstępny zarys różnic. Jakież było więc moje zdziwienie, kiedy przy przekładaniu między odtwarzaczami nie mogłem się w niczym połapać – za każdym razem wychodziło mi co innego. Przyjrzałem się więc bliżej płytom. Okładki – identyczne, drukowane w Europie, po prostu identyczne. Rzut oka na płyty – i to samo, to dokładnie to samo wydanie ‘Super 20 bit’ w reedycji dokonanej przez Michaela Cuscuna, co potwierdziły numery katalogowe, w obydwu przypadkach IMP 11662. Co mi pozostało? Po smutnym doświadczeniu z pseudo-japończykami, gdzie wszędzie było napisane „Made in Japan”, a tylko od spodu, laserunkiem „Made in Germany”, spojrzałem pod spód płyt. I rzeczywiście – okazało się, że płyty wytłoczono w dwóch różnych tłocznich: jedna pochodzi z niemieckiej tłoczni EDC, zaś druga z również niemieckiej tłoczni, jednak opisanej jako „Made in Germany by Universal M&L”, czyli nie wiadomo dokładnie gdzie. Nie będę się długo rozpisywał, ale muszę powiedzieć, że tłoczenie ‘EDC’ jest znacznie gorsze od tego drugiego. Żeby to potwierdzić zabrałem płyty na odsłuch kabli sieciowych [Acrolinka 7N PS7100](#) do znajomego. I tam porównałem obydwie tłoczenia z ich japońską wersją. Dysk M&L brzmiał głębiej, cieplej, był bardziej rozdzielczy niż EDC, który wydawał się płaski i pozbawiony życia. Co więcej, po wpięciu do systemu wspomnianych kabli, wersja M&L zagrała niemal jak japoński odpowiednik. Różnice, jak dla mnie, były dla tyle nieduże, że teraz czekam, aż przyjdą moje sieciówki (zamówiłem dla siebie dwa Acrolinki – do odtwarzacza CD i dla przedwzmacniacza). Bo, jak powiedział jeden z uczestników spotkania, jeśli podzielimy cenę (przynajmy – kosmiczną!) Acrolinków przez ilość posiadanych płyt i weźmiemy pod uwagę, że każda płyta zagra dwa razy lepiej (gwarantuję!), to bardziej opłaca się to niż wymienianie wszystkich płyt na „japończyki”...



Druga sprawa dotyczy rasowych, japońskich tłoczeń. Od dłuższego czasu dostępne są płyty kodowane w opatentowanym przez JVC procesie K2. Ja również nabyłem ich sporą ilość i było świetnie. Ostatnio pojawiły się jednak reedycje tych samych płyt dokonane w ramach projektu o nazwie „DSD Remastering” wykonane przez Universal Music Japan. K2 oznaczało przede wszystkim staranny proces obróbki sygnału, począwszy od przetwornika A/D, poprzez odpowiedni nośnik przesyłany do tłoczni, na tworzeniu precyzyjnej matrycy skończywszy. W skrócie, cały proces polegał na szlifowaniu tego, co było dostępne. Materiał zazwyczaj remasterowano, ale nie zawsze były to remastery dokonywane przez ludzi z JVC, a remastery dokonywane w danej wytwórni płytowej. W takim przypadku na płycie pisano K2 Digital. Z kolei DSD Remaster oznacza, że chodzi przede wszystkim o obróbkę cyfrową sygnału. Najważniejsze jest to, że najwyraźniej jest to obróbka w domenie DSD, a więc sygnału, jaki pierwotnie miał być kodowany jedynie na płytach SACD. Wygląda więc na to, że skorzystano z zalet, jakie dają proste, jednobitowe przetworniki A/D. Ostatnio pojawiły się też zaawansowane stacje robocze do obróbki sygnału DSD w jego natywnej formie i najwyraźniej skorzystano i z tego. Na końcu zastosowano zaś obróbkę Super Bit Mapping-Direct, kiedyś najważniejszy dla Sony proces, w którym z sygnału DSD o parametrach 1 bit/2,8224 MHz tworzy się bezpośrednio, tj., bez interpolacji, sygnał PCM 16 bit/44,1 kHz. Jak Sony niegdyś podawało, udało się w ten sposób, m.in. dzięki kształtowaniu szumu (‘noise shaping’) uzyskać realną rozdzielczość 20 bitów. To znaczy dokładnie tyle samo, ile oferowało K2! Naturalne więc było porównanie tych obydwu technik.



Pierwszą próbę wykonałem na płycie *Incredible Jazz Guitar of Wes Montgomery*. Płyta wydana oryginalnie przez Riverside w roku 1960, została wydana przez JVC w formacie K2, w ramach serii *Heritage of Jazz by Digital K2* w roku 1999 (VICJ-60297). Inżynierem masteringu został Shigeo Miyamoto, zaś jego szefem Tamaki Beck z JVC. Remaster DSD został z kolei dokonany w roku 2007 (czerwiec-sierpień) w JVC Mastering Center pod okiem Kazuie Sugimoto (UCCO-9210, CD) i ukazał się w serii *Jazz The Best. Legendary 100*. Jak można się dowiedzieć, pomysł na DSD Remastering wyszedł od Universal Classics& Jazz. Bez dwóch zdań wersja K2 była lepsza. Nie znaczy to, że DSD Remaster jest wersją złą – wprost przeciwnie, jej „regularna”, europejska wersja jest beznadziejna. A jednak głębszy, ciemniejszy dźwięk K2 był też bardziej rozdzielczy, było w nim po prostu więcej muzyki. Zewnętrznie płyty niemal się nie różnią, poza lekką zmianą koloru białego – w nowej wersji to prawdziwa biel, zaś w k2 jest żółtawa. Już jednak wkładka w K2 była znacząco lepsza – rozkładana, z powiększoną tylną częścią okładki. Czy to oznacza, że nie trzeba tych płyt kupować? Sam się nad tym zastanawiałem, ale myślę, że nie – to wciąż bardzo dobry dźwięk. I tylko, jeśli to możliwe, lepiej najpierw poszukać wcześniejszego odpowiednika K2. jeśli już nie jest dostępny, możemy wejść w DSD Remastering. Co i ja zrobiłem, zamawiając nową reedycję płyt Wesa Montgomery’ego...

Wojciech Pacuła  
Redaktor naczelny

